

DOROTA NIEDZIAŁKOWSKA

NIEZNANY CZYCZ

Sprawa druga – całe moje zarobki to pieniądze za rozrywkowe historyjki zdjęciowe w „Przekroju” (za takie trzy zdjęcia z opisami dostaję 300 do 400 zł, zamieszczane są tam raz na miesiąc czy dwa, czy jeszcze rzadziej), pracowałem swego czasu w lesie i jako malarz pokojowy, i elektryk, i pomocnik budowlany, i felietonista (w tygodniku „Wieści” – ale w końcu stwierdzono, że moje felietony są „za mądre” dla chłopów), i żeby niczego nie pominąć – piszę raz w roku (w tym roku po raz drugi) za 800 zł o p o w i a d a n i e t u r y s t y c z n e n a k o n k u r s „M a g a z y n u T u r y s t y c z n e g o – Ś w i a t o w i d” [podkreślenie moje – D.N.] (zwracają się z tym do mnie, płacą 800 zł za udział)¹.

Przytoczony fragment pochodzi z podania Stanisława Czczy (1929-1996) do Komisji Stypendialnej Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Krakowski pisarz i poeta sformułował pismo najprawdopodobniej w 1966 r., kiedy starał się o środki na dokończenie *Ajola*². Podanie Czczy dalekie jest od urzędowego stylu³.

Dr DOROTA NIEDZIAŁKOWSKA – prowadzi zajęcia zleczone przez Katedrę Tekstologii i Edytorstwa KUL w Instytucie Filologii Polskiej KUL; adres do korespondencji: e-mail: dorota.niedz@interia.pl

¹ Kserokopia podania Stanisława Czczy do Komisji Stypendialnej Zarządu Głównego ZLP, prawdopodobnie 1966 r., trzy strony A4 zapisane jednostronnie, maszynopis z odręcznym podpisem, archiwum domowe poety, s. 1-2.

² Datuję na podstawie informacji o konkursie ze „Światowida”. O wydanie tomu zawierającego *Anda* i trzy inne opowiadania Czczy starał się od 1961 r. – piszę o tym w artykule: *Stanisław Czczy – Barbara Sadowska. Prawda o „Listach”*, w: *Problemy edytorstwa, bibliologii i typografii*, red. A. Ptak, K. Baran, Lublin 2011, s. 81-119.

³ Na wyjątkowość pisywanych przez męża podań („to była cała literatura”) zwraca uwagę Barbara Sommer-Czczy w niepublikowanym wywiadzie z autorką niniejszego opracowania pt.: „*Śnieżyczki w pudeleczku od papierosów*”. Fragmenty podania do ZLP wykorzystuję w przywoływany w poprzednim przypisie artykule.

Debiutujący w 1955 r. poeta, po wydaniu tomików *Tła* (1957) i *Berenais* (1960) oraz po publikacji *Anda* (1961), starał się utrzymać między innymi jako pisarz i publicysta. Od 1962 r. drukował na łamach „Przekroju” opowiadania, które w 1968 r. ukazały się w tomie *Nim zajdzie księżyc*. „Rozrywkowe historyjki zdjęciowe” dla „Przekroju” to prowadzona w latach 1964-1969 rubryka *Fotografia jest sztuką trudną*, gdzie jako „Michał C. Fotoamator” Czycz żartobliwie komentował zdjęcia. W „Wieściach” z 1964 r. w rubryce *Z teczki Sowizdrzała* (od numeru 5. rubrykę przemianowano na *Z punktu widzenia...*) wydrukował cykl 19 felietonów.

W tym miejscu chciałabym nie tyle zwrócić uwagę na niełatwą sytuację materialną początkującego literata, ile przyjrzeć się wątkowi „opowiadania turystycznego”. „Magazyn Turystyczny Światowid” od 1961 r. do 1973 r. ukazywał się jako tygodnik, od 1973 r. jako miesięcznik. Pierwszy konkurs literacki redakcja (wraz z Głównym Komitetem Kultury Fizycznej i Turystyki) zorganizowała w 1963 r. Miał formułę zamkniętą, zaproszono do niego „wielu znanych pisarzy”, którzy nadesłali 34 prace⁴. Trzy pierwsze nagrody (10; 7,5 i 5 tys. zł) zdobyli Tymoteusz Karpowicz, Tadeusz Staich⁵ i Adam Bahdaj. Nagrodzone i wyróżnione teksty drukowano na łamach pisma (opowiadanie Karpowicza w numerze bożonarodzeniowym 51./52.), zdecydowano też, że konkurs będzie się odbywał co roku. W drugiej edycji wzięło udział 31 prac. W 1965 r. redakcja „Światowida” zmieniła formułę konkursu na otwartą, choć równolegle nadal zapraszała wytypowanych przez siebie autorów. Trzeci konkurs ogłoszono w 18. numerze magazynu z 2 maja 1965 r. Regulamin zawierał między innymi warunek, że teksty nie powinny przekraczać 8 stron maszynopisu (240 wierszy)⁶. Informację o rozstrzygnięciu wydrukowano 15 sierpnia 1965 r. – wybierano spośród 248 prac. Nadmiar materiału przytłoczył zapewne „sąd konkursowy”, bo w 1966 i 1967 r. sugerowano już uczestnikom, by pisali opowiadania, nowele lub humoreski na tematy turystyczne na 6 stron maszynopisu. Podsumowując – do 1972 r. włącznie Stanisław Czycz nie zdobył żadnej nagrody ani wyróżnienia, nie

⁴ *Pisarze i turystyka* [ogłoszenie wyników konkursu literackiego], „Światowid” 1963, nr 22, s. 11. W numerze 24. (s. 6-7) ukazał się artykuł z wręczenia nagród wraz z wywiadami z laureatami.

⁵ Tadeusz Staich od 1980 r. sąsiadował ze Stanisławem Czyczem w kamienicy przy ul. Krupniczej w Krakowie. Niestety jego żona w udzielonym mi wywiadzie nie wspomniała, kiedy mogli się poznać – zob. *Pan Staszek. Z Zofią Stojakowską-Staich rozmawia D. Niedziałkowska*, „Kresy” 2007, nr 72, s. 249-254.

⁶ *Konkurs na opowiadanie turystyczne*, „Światowid” 1965, nr 18, s. 16.

notują jego tekstów roczne spisy treści „Światowida” z lat 1965-1968 (ale i nie można wykluczyć, że występował pod pseudonimami).

Cytowane wyżej podanie do ZLP potwierdza istnienie przynajmniej dwóch opowiadań turystycznych. Jedno z nich zachowało się wśród niedrukowanych prac pisarza. W papierach domowych znajduje się 8 stron paginowanego (od strony drugiej), jednostronnie zapisanego maszynopisu o formacie A4, rozpoczynającego się od incipitu [Był piękny niedzielny poranek]. Czycz zapewne zostawił sobie kopię posłanego na konkurs tekstu. Sporadyczne maszynowe i odręczne skreślenia i dopiski świadczą, że mamy do czynienia zapewne z wersją poprzedzającą czystopis. Potwierdza to także dopracowanie kompozycyjne. Wątkiem melancholii, którą ukoić może tylko samotna wycieczka i podziwianie uroków przyrody, autor spina jak kłamrą początek i koniec.

Nie wiadomo, jakiej objętości teksty zamawiano u uczestników dwóch pierwszych zamkniętych edycji konkursu, niemniej regulamin z 1965 r. pozwala przypuszczać, że właśnie wtedy Czycz mógł odpowiedzieć na zaproszenie „Światowida”. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem można datować to archiwaliu na lata 1963-1966. Jednakże nawet bez wiedzy o podaniu czy konkursie można przyjąć *terminus ante quem* powstania utworu Czycza. W opowiadaniu znajduje się nawiązanie do wątku przepaści za polem zboża, przez które przejeżdżają nieomal na ślepo bohaterowie, nie panując nad rozpędzonym motocyklem⁷. Moim zdaniem to echo *Buszującego w zbożu* Jerome’a Davida Salinger’a – polski przekład książki ukazał się w 1961 r.

Pierwszy punkt regulaminu z 1965 r. stanowił, iż celem konkursu jest „zainteresowanie pisarzy tematyką turystyczną oraz zdobycie dla czytelników wartościowej beletrystyki z tego zakresu”⁸. Opowiadanie, a właściwie humoreska Czycza (zamawiano właśnie nowele lub humoreski), traktuje o niedzielnej wycieczce za miasto. Z pełnej zabawnych perypetii konfrontacji miłośnika turystyki pieszej z amatorem motoryzacji zwycięsko wychodzi ten pierwszy, przekonuje kolegę, że rechot żab przewyższa śpiew słowików, nie mówiąc o melodii „przebojowego” motocykla. Tematycznie autor spełnia zatem kryteria konkursowe, choć na tle nagradzanych tekstów propozycja autora *Berenais* przedstawia się subtelnie i nawet nieco naiwnie. Dodać trzeba, że pisarz

⁷ „[...] wjechaliśmy w owies, sunęliśmy chyba jak przez step, sterczały nam z tego owsa tylko głowy, nagle zrobiło mi się słabo na myśl, że to pole może się skończyć jakąś przepaścią... nie widzieliśmy przecież przed sobą prawie nic...”

⁸ *Konkurs na opowiadanie turystyczne*, s. 16.

opisał w opowiadaniu rodzime atrakcje turystyczne: Zamek z basztą to położony malowniczo Zamek Tenczyn w Rudnie, kilka kilometrów od Krzeszowic⁹, zaś staw, w którym bohaterowie chcieli się „okąpać”, to zapewne Staw Wroński w Tenczynku.

UWAGI EDYTORSKIE

Tytuł opowiadania został nadany przez edytora: wykorzystano sformułowanie „opowiadanie turystyczne”, którego Stanisław Czyż użył w cytowanym powyżej fragmencie podania do Komisji Stypendialnej Zarządu Głównego ZLP z 1966 r. Podstawą edycji jest opisany powyżej zachowany w archiwum domowym przekaz – jego stan jest bardzo dobry. Podczas ustalania tekstu opuszczono i nie zaznaczano autorskich skreśleń, uwzględniono także, z oznaczeniem w przypisie, jeden dopisek.

W tekście uwspółcześiono ortografię i interpunkcję. Poprawiono błędy oczywiste: „muśnicie”, „pręgowanago”, „świecioło”, „przypieszylek”, „czervenianając”, dodano brakujące i usunięto zbędne spacje. Wprowadzono łączną pisownię przyimków złożonych: „w obec”, „z pode” oraz rozłączny zapis „jako”, „napewno”. Pozostawiono regionalizm autora „okąpać”. Modernizacja interpunkcji to najbardziej problematyczne zagadnienie, ponieważ bardzo oszczędne stosowanie znaków przestankowych należy do cech charakterystycznych stylu Stanisława Czyża. Podważanie reguł interpunkcji nagminne było w eksperymentalnych tekstach tego autora, tu zaś mamy do czynienia z utworem napisanym na konkurs (i jak pisarz nie ukrywa, w celu zarobkowym). Wobec tego zdecydowano się dostosować tekst do obowiązujących konwencji poprawnościowych: dostawiono przecinki przy wprowadzeniu zdań podrzędnych oraz przy imiesłowach przysłówkowych, usunięto przed „czy” w funkcji spójnika rozłącznego. Zdecydowano, że do oznaczania mowy wewnętrznej bohatera będzie służył cudzysłów. Pozostawiono wszystkie wprowadzone przez autora pauzy, także te wewnątrz dialogów. Ujednotwiono i poprawiono zapis dialogów. Pozostawiono autorski podział na akapity.

⁹ J. Z a l i t a c z, *Uzdrowisko Krzeszowice i okolice*, Chrzanów 2006, s. 161 i n.; *Zamek Tenczyn w Rudnie* [broszura wydana staraniem stowarzyszenia „Ratuj Tenczyn”], Krzeszowice 2012. Zob. też <http://www.ratujtenczyn.org.pl/> (dostęp 22 października 2012 r.).

STANISŁAW CZY CZ, *OPOWIADANIE TURYSTYCZNE*

Był piękny niedzielny poranek, miasto już zostawało poza mną, a przede mną daleko na horyzoncie rysował się niebieskawy las, skraj lasu, chciałem w tym dniu być sam, lubię zbiorowe wycieczki, ale w tym dniu ogarnięty jakąś może melancholią czy czymś w tym rodzaju, zapragnąłem samotnej włóczęgi, sam na sam z naturą, która właśnie rysowała się przede mną niebieskawy na horyzoncie, zresztą zdaje się – przypomniałem sobie – któryś z filozofów, zapomniałem który, zalecał takie od czasu do czasu samotne medytacje i najlepiej gdzieś w plenerze. Rysował się ten las niebieskawy i pomyślałem tylko, że może za daleko jak na ten upał – na drogę w dniu, który się zapowiadał upalny – i pomyślałem, że może powinienem z miasta podjechać najpierw kawałek autobusem, lecz zaraz pomyślałem, że i tę drogę mogę traktować jako część wyprawy, tej samotnej włóczęgi, tak, samotnej, o to mi przecież szło – cisza, spokój, kontemplacja.

Usłyszałem nagle za sobą jakiś straszliwy klekot, odwróciłem się; nadjeżdżał na motocyklu Artek, zatrzymał się przede mną:

- Cześć! Gdzie idziesz?
- Idę.
- Ale dokąd? Ubrany jesteś jak na wyprawę w Himalaje.
- Dlaczego ci ten motor tak hałasuje?
- Ma jakiś nietypowy tłumik.
- Cały jest zdaje się nietypowy. Skąd go masz?
- Jak to skąd? Przecież ci mówiłem, żeśmy kupili ze Staszkiem.
- Więc on ci jednak dał?

„Istotnie, kupili go na spółkę z kolegą, ale nie przypuszczałem, że ten Staszek da mu kiedyś – zwłaszcza w niedzielę – ten motocykl; Staszek wydawał mi się trochę cwaniakiem, a już na pewno był fanatykiem tych wszystkich poruszających się machin, pochylał się nad każdą taką z wypiekami na twarzy, z czułością, a gdy jeszcze należała do niego... – był w tym podobny do rozmiłowanego w swoich nabytkach kolekcjonera sztuki, antyków na przykład; właśnie: antyków – ten motocykl był trochę antyczny. Myślałem więc, że Staszek – pomijając jazdę ich razem – da Artkowi najwyżej się przewieźć czasem, jakiś kawałek i na parę minut, a nie żeby Artek jechał, gdzie chce”.

- Przecież ten motor jest w połowie mój – odpowiedział Artek.
- Racja... – No to przyjemnej jazdy. Ja już idę.
- Poczekajże, gdzieś się wybrał?
- W każdym razie nie na jazdę motorem.

– Jak idziesz na wycieczkę, to się dobrze składa; zamiast iść, pojedziemy. Turystyka tylko w połączeniu z motoryzacją może dać maksimum zadowolenia.

Nie bardzo mnie to przekonało, ale pomyślałem, że do lasu może mnie podwieźć.

Kiedy wjechaliśmy już w las – droga tam szła jeszcze dalej – powiedziałem Artkowi, żeby się zatrzymał.

– Nie mogę! – odkrzyknął mi.

– Jak to nie możesz?

– Bo trudno jest go zapalić!

„To znaczy – pomyślałem – że wrośnięci w ten motocykl będziemy musieli już pędzić tak do wieczora po różnych drogach i drózkach, bo trudno go zapalić, a jak się któraś z drózek skończy, to co? i w ogóle dokąd jedziemy? Chciałem się znaleźć na łonie natury, i już się znalazłem, ale musimy jechać dalej, okazuje się, że nie możemy się na tym łonie zatrzymać; tak, i dokąd mamy tak pędzić?”

Artek jakby wyczuł te moje myśli, bo odwrócił się do mnie, krzyknął:

– Jedziemy na Zamek!

i kiedy się do mnie odwracał, kierownica mu się trochę skrzywiła – może zresztą wjechał na jakiś korzeń i podbiło mu koła – i wypadliśmy z tej dróżki, porwało nas w drzewa, zaczął się jakiś slalom pomiędzy pniami – zatrzymać się nie mogliśmy, bo „motor trudno zapalić” – niosło nas po korzeniach i jakichś wykrotach, w końcu udało się nam jednak wydostać na drogę.

Ten Zamek to były ruiny, położone dość malowniczo na takim leśnym wzgórzu – obiekt rzeczywiście wielu niedzielnych wycieczek turystyczno-krajoznawczych, prowadziły tam nawet znaki turystyczne, – Zamek ten był już przed nami, pięknie jaśniały w słońcu jego mury, droga teraz pięła się w górę coraz stromiej. I coraz więcej było na niej kamieni, jakichś „kocich łbów”, teren był górzysty i kamienisty, Artek dodał gazu, żeby to wzniesienie pokonać rozpędem, tym rozpędem wpadł na jakiś duży kamień i podrzuciło mnie w górę z pół metra chyba, i opadając, nie trafiłem już na siodło – bo motor tym czasem odjechał spode mnie – nie trafiłem na motor, lecz właśnie na ten kamień;

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem. – Stój, bo... – i w bólu głos mi się załamał.

Artek się odwrócił:

– Dogoń mnie! – krzyknął, i dodał gazu.

Podniosłem się, pomacałem stłuczone miejsce, – i odetchnąłem; Artek oddalał się na tej swojej machinie, ja go dogonić nie mogłem choćbym chciał, znajdowałem się w lesie sam, tego przecież chciałem, wprawdzie moja torba z jedzeniem oddalała się teraz ode mnie na tej piekielnej maszynie, ale głodny na razie nie byłem; rozejrzałem się – w którym kierunku mam ruszyć – i wtedy zobaczyłem, że droga, którą się oddalał Artek, skręca, że jest to właściwie jakby serpentyna, i pomyślałem, że może mógłbym go złapać, przecinając tę pętlę drogi, którą on musiał zakreślać, ta myśl nagle stała się kusząca i pognałem w górę, na przełaj, rzeczywiście go złapałem, wskoczyłem w biegu na siodło, i to zachwiało motocyklem, i znów wypadliśmy z drogi, tym razem w pole, w ziemniaki, jechaliśmy w poprzek rządów, była to jazda jak po schodach, „jak nam się uda przejechać to całe pole – pomyślałem – to potem już będziemy mogli wjechać nawet do mieszkania Artka, na piętro, zgasić motocykl dopiero w mieszkaniu”, ziemniaki się skończyły, wjechaliśmy w owies, sunęliśmy chyba jak przez step, sterczały nam z tego owsa tylko głowy, nagle zrobiło mi się słabo na myśl, że to pole może się skończyć jakąś przepaścią... nie widzieliśmy przecież przed sobą prawie nic... – szczęśliwie wypadliśmy z tego owsa na taką łączkę tuż przed Zamkiem; i wtedy motocykl zgasł.

– To nic – powiedział Artek, gdy spojrzałem na niego pytająco – zapalimy go, zjeżdżając potem z tej góry.

Z jednej z baszt Zamku roztaczał się szeroki widok na okolicę, na lasy ciągnące się aż po horyzont, jakiś jeden mały obłoczek zdawał się lśnić, był jak lekkie muśnięcie bieli na niekończącym się błękanie, i zdawał się ten błękit nasycać nawet zieleń drzew, które – gdyśmy patrzyli na nie, na te bliższe i dalsze – zdawały się lekko drgać w podnoszącym się upale; i pomyślałem, że przez tyle takich jak ten dni płątałem się bez celu i bezmyślnie tam w mieście, podczas gdy tu jest tak pięknie. – Artek wypatrzył w tamtym lesie jakąś drogę, i przypomniał sobie równocześnie, że tam za lasem jest staw – będzie się można okapać.

Próbowaliśmy najpierw zapalić motocykl starterem, ale można było w końcu zwichnąć sobie nogę i na nic, wsiedliśmy więc na niego, i w trakcie zjazdu z tamtej góry, gdyśmy nabrali już prędkości, Artek włączył bieg,

szarpnęło nami, że nieomal nie wyskoczyliśmy z siodeł, ale motocykl jednak zapalił.

Tam, w dole, po wyminięciu łąki najpierw i potem jakiegoś pola, wjechaliśmy z tych rozjaśnionych iskrzących nieomal zieleni w cień drzew tamtego lasu – istotnie była tam droga i dość szeroka, i równa – ciemne cienie drzew, i ze szczelin między drzewami, gdyśmy je mijali – te jakieś szmaragdowo-złote migotania zdawały się nas – a przynajmniej mnie – przenikać gdzieś do środka, było to chwilami jak trzepotanie, jakby skrzydeł motyla, szmaragdowo-złotego i pręgowanego czerniami, i jakby to ten motyl tak niósł nas przez ten las, czy sam jakbym nagle był frunącym tam motylem, i temu nastrojowi zdawał się ulegać nawet motocykl – już jakby mniej hałasował, cień, jasność, migotanie, motocykl ciszej i ciszej, cień, jasność, cień, i nagle motocykl zatrzymał się, zgasł.

– O cholera... – powiedział Artek.

– To teraz... – zacząłem i urwałem, bo nie wiedziałem, co teraz.

Na razie jednak postawiliśmy motocykl pod drzewem i usiedliśmy, po wypaleniu papierosa Artek podniósł się, ja za nim.

– Popchniesz mnie – powiedział, gdy próby zapalenia starterem okazały się bezskuteczne.

Wsiadł na motocykl, pchałem go może sto metrów, może dwieście, pot zaczął mi zraszać czoło, zatrzymaliśmy się, Artek zsiadł z motocykla „popchniemy go razem” powiedział. Biegł przy kierownicy a ja popychałem motocykl z tyłu.

„Poczekaj” – powiedział po chwili, byliśmy już spoceni na dobre, po prostu skąpani w tym pocie – mieliśmy tą drogą dojechać gdzieś, gdzie można się było okapać, to okąpaliśmy się już tutaj, przed dojazdem do jakiegoś stawu – „poczekaj – powiedział – rozbierzemy się”, słusznie, jak kąpiel to kąpiel, nie w ubraniach. Rozebraliśmy się do kąpielówek, Artek swoje ubranie – a miał je takie dość wizytowe, eleganckie, ciemne, i białą koszulę i krawat – złożył to ubranie starannie, położył na tylnym siedzeniu, ja też tam położyłem swoje, miałem je przytrzymywać, pchając motocykl. I może rozebrani mieliśmy więcej sił lub nabraliśmy ich w czasie rozbierania się, bo tym razem motocykl nagle zapalił; i porwał Artka, który widocznie nie mógł od razu chwycić sprzęgła, gnał obok motocykla, podskakując, ja oczywiście zostałem w tyle, ubrania spadły, droga tu już była pełna kurzu, już skończyły się wysokie drzewa i wjechaliśmy w młody sosnowy lasek, ubrania spadły do tego kurzu, ale gdybyż tylko spadły – przewiązane paskiem zaczepiły się o coś tam, może o jakąś śrubę przy rurze wydechowej, i zaczęły

dość dokładnie zamiatać tę drogę; „stój! stój!” – krzychałem za galopującym Artkiem, on pędził dalej ogłuszony chyba klekotaniem motocykla, był na drodze jakiś mostek nad rowkiem z wodą i tam o jakiś wystający drąg ubrania zaczepiły się, rozerwały, część została tam a część dalej wlokła się za motocyklem – „stój!”, wołałem, i wreszcie Artek usłyszał, udało mu się zatrzymać motocykl, może chwycić za sprzęgło, i motocykl zresztą natychmiast zgasł. Artek odwrócił się do mnie wściekły:

– Czemu się drzesz „stój”, kiedy właśnie zapalił?!

Pokazałem mu nasze ubrania; tę część przy motorze i tamtą przy mostku.

– O rany boskie... – powiedział. – To jakżeś ty je trzymał?!

– Trzymałem, ale jak cię porwało, to już nie mogłem.

Najpierw rzuciło nam się w oczy, że ubranie Artka zmieniło cośkolwiek kolor – z ciemnego stało się zdecydowanie popielate, aczkolwiek¹⁰ nie we wszystkich miejscach i tym upodobniło się trochę do mundurów wojsk powietrzno-desantowych – moja ciemna koszula też nabrała tonów trochę pastelowych. Podnieśliśmy je, zaczęliśmy oglądać – marynarka Artka była rozdarta na plecach – od kołnierza prawie do samego dołu – szczęśliwie tylko że na szwie, u koszuli miał naderwany rękaw, ja miałem jedynie rozdartą jedną nogawkę przy spodniach – od dołu do kolana. Zaczęliśmy je trzepać i czyścić, dość bezskutecznie, kolory, których nasze ubrania nabrały, okazywały się dość trwałe. Po włożeniu ich wyglądaliśmy – biorąc pod uwagę jeszcze rozdarcia – jak para arlekinów – w szarym kolorze. Zauważyliśmy jeszcze brak szkła w lampie motocykla, szczególnie dodatkowy, ale wobec tamtego wszystkiego już mało, że tak powiem, atrakcyjny. Zaczęliśmy jednak szukać tego szkła, nie znaleźliśmy.

– Da ci teraz Staszek – powiedziałem.

– E, co tam szkło... motor jest zresztą też mój.

Słusznie.

– Najchętniej – dodał Artek po chwili zadumy – to bym teraz ten motor zostawił tutaj i poszedł do domu.

– To najlepsza myśl ze wszystkich twoich dzisiejszych – powiedziałem – chodźmy, nie wiadomo jak daleko mamy stąd do domu, przed wieczorem chyba dojdziemy. Staszekowi powiesz, gdzie mniej więcej się ten wasz pojazd znajduje, nikt go tu przecież nie ukradnie – jechać się na nim nie da.

¹⁰ Słowo dopisane przez autora.

Ale po chwili odpoczynku podnieśliśmy porzucony przedtem, wywrócony wehikuł – może ta droga będzie gdzieś opadać w dół i wtedy spróbujemy go jeszcze zapalić.

Kiedy po jakimś czasie droga rzeczywiście zaczęła opadać, okazało się, że w zbiorniku nie ma już benzyny – wyciekła czy wyparowała – nie wiedzieliśmy i zresztą już się nad tym nie zastanawialiśmy, zastanawiało nas już tylko, jak daleko jeszcze te lasy i kiedy wreszcie zobaczymy miasto.

Było już późne popołudnie, wyszliśmy jednak z lasu, prowadziliśmy ten motocykl teraz przez jakąś wieś, biegły za nami dzieci, „ale mieli jakąś straszną katastrofę – lampę rozbili” – słyszeliśmy za sobą. Pewnie, mieliśmy.

Znaleźliśmy się w mieście jeszcze przed zachodem słońca, poszliśmy do domów, umyłem się, przebrałem, wyszedłem, słońce świeciło jeszcze dość wysoko, skierowałem się poza miasto, ogarnięty jakąś może melancholią czy czymś w tym rodzaju, chciałem jakiejś samotnej przechadzki, zresztą któryś z filozofów chyba, zapomniałem który, zalecał takie od czasu do czasu... – usłyszałem za sobą klekot, odwróciłem się, na motocyklu nadjeżdżał Artek, przyspieszyłem kroku, on dojechał do mnie:

- Gdzieś się wybrał?
- Wybrałem się.
- To może byśmy tak razem...
- Nie – przerwałem mu – wolę sam.
- Ale ja nie myślę o jeździe na motorze, też mam go już dość, odwożę go teraz Staszкови. Poczekaj tu na mnie.

Szliśmy brzegiem jakiegoś rowu, słońce już zaszło, niebo – dalej pogodnie czyste – czerwieniejąc się, powoli ciemniało, i cieniał las w pewnej odległości przed nami, i za nami – też w pewnej odległości – miasto.

- Ty, słuchaj – odezwał się Artek – co to?
- Co?
- No to. Słyszysz chyba.
- Tak, słyszałem, to szło ku nam jak jakieś granie od strony lasu, od chyba podmokłych łąk tuż przed nim.
- Wiesz – powiedziałem – poeci pisali o słowikach, a o tym jakoś nie; ja przynajmniej nie przypominam sobie, żebym czytał o tym; a mnie się to zawsze wydawało piękniejsze od całych tych słowicznych pień. – To rechoczą żaby.

- Żaby? Nigdy bym nie przypuścił. I nigdy dotąd nie słyszałem.
- Bo jak jesteś zdania, że turystyka tylko w połączeniu z motoryzacją może dać maksimum zadowolenia... Jadąc zwłaszcza na tym twoim motorze, trudno byłoby usłyszeć nawet huk działa.
- Jakby się miało dobry motor... – Wyberzemy się za tydzień, co? Oczywiście, nie na motorze. – Ależ te żaby tam śpiewają...
- Raczej rechoczą.
- Wiem, ale tak jakby śpiewały. I rzeczywiście, piękniej niż słowiki...

KONKURS na opowiadanie TURYSTYCZNE

Podobnie jak w roku 1963 i 64 redakcja „Magazynu Turystycznego — Światowid” rozpisuje, tym razem otwarty, konkurs literacki na opowiadanie ew. nowelę lub humoreskę — z atrakcyjnymi nagrodami pieniężnymi ufundowanymi przez GKKFiT, ZG PTTK i Wydawnictwo „Sport i Turystyka”.
Oto warunki tego konkursu:

REGULAMIN

- Organizatorem otwartego konkursu literackiego jest redakcja „Magazynu Turystycznego — Światowid”.
- Celem konkursu jest zainteresowanie pisarzy tematyką turystyczną oraz zdobycie dla czytelników wartościowej beletrystyki z tego zakresu.
- Redakcja „MT—Światowid” zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do publikacji prac nagrodzonych i wyróżnionych oraz prac zakwalifikowanych do zakupu, przy czym będą one honorowane zgodnie z obowiązującymi stawkami.
- Warunki konkursu:
 - a) praca nie powinna przekraczać 8 stron maszynopisu (240 wierszy),
 - b) uwzględnione będą tylko utwory nigdzie nie publikowane
 - c) utwory należy podpisać godłem, dołączając zamkniętą kopertę, zaopatrzoną w to samo godło i zawierającą imię, nazwisko i adres autora
 - d) każdy autor ma prawo nadesłać dowolną ilość utworów, jednakże każdy utwór powinien być opatrzony innym godłem.
 - e) termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 maja 1965 r. (data stempla pocztowego na przesyłce). Prace należy adresować: „MT—ŚWIATOWID”, WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 21/23 — KONKURS LITERACKI.
 - f) Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 30 czerwca br.
 - Sąd konkursowy przyzna następujące nagrody: I — 10.000 zł. II — 7.500 zł., III — 5.000 zł. oraz dwa wyróżnienia po 1.500 zł.
 - W skład sądu konkursowego wejdą przedstawiciele redakcji „MT—ŚWIATOWID” i GKKFiT pod przewodnictwem przedstawiciela ZG ZLP — Jerzego Putramenta.
 - Wszelkich informacji związanych z konkursem udziela redakcja „MT—Światowid” — tel. 26-11-49.

16

1. *Konkurs na opowiadanie turystyczne*, „Światowid” 1965, nr 18, s. 16

Był piękny niedzielny poranek, właśnie już zostawało przez mną, a przede mną ślabo na koryzencie rysewał się niościskane Jan, strażak i Jan, obciążony w tym dniu być sam, lwią zbirnowo wyścieśli, ale w tym dniu ogarnięty jakieg osze belanchelid, czy czywał w tym reżanbu, zaprzęgnięto samostnoj wśięczki, sam na sam z naturą, która wżdnie rysewała się przede mną niościskano na koryzencie, aresztu zdaje się - przyprymienion woble - kętyg z zilonoców, zamienion kęty, zabobak takie od osanu do osanu samostno medytacje i najdogiej gęziów w pjonersze. Rysewał się ten las niościskane i pomyślano tylko, że może trochę za daleko jak na ten wpał - na drogę w dniu który się zapowiadał upalny - i pomyślano, że może powiniem z miarą poogochad najpijorow kawozok autobuses, kocz zaraz pomyślano, że i tę drogę mogę traktować jako ogęd wyprawy, tej samotnej wśięczki, tak, samostnoj, o to mi pracoć szę - cizna, spokój, kontemplacja.

Umyszszam nałże na sobą jakiś straszny kłopot, strzeżona się? nadjeżdżać na meteorologii Artak, zatrzymał się przede mną:

- Cześć! Gdzie idziesz?
- Idę.
- Ale obękad! Ubrany jesteś jak na wyprawę w Himalaje.
- Dlaczego ci ten noster tak lubiamy?
- Ma jakiś nietytyny temat.
- Cóż jest zdaje się nietytyny. Sąd go masz?
- Jaki sąd? Przecież ci mówili, śceny kwilili ze Staszkiem.
- Męce on ci jednak śad?

(Istotnie, kwilili go na spółkę z koleżką, ale nie przyzwaszszam że ten Staszek da mu kiedyś - a zwłaszczam w niościskę - ten meteorologii. Staszek wyawał mi się trochę owankiem, a już naposmo był tanatykiem tych wprzetych pomszających się mechin, pomyślał się nasz kładę taką z wyślechan i twary, z emblecją, a sży jeszcze malować do niego...

kłemu na siedze, i to zabawiła meteorologia i smów wywalidny z strugi, tym razem w seze, w ziemniaki, jechałidny w pprsek rzędiów, była to jedna jak je obchodach, jak nam się uła przęjochad że same jałe - ja-lyżak - to pelen już bęziatory mogli "jochad nawet do mieszkania Artaka, na Wielki piętra, szcził meteorologii desjor w mieszkaniu, ziom- nęgi się obczęży "jechałidny w wioen, amękiży obya jak przez stes, storozowały nam z tego owna tylko Zewy, nałże zrowie ni się zła że na wpał że to jałe może się obczęzy jakieg przępobęg... nie w- szaliży przęcił przed sobą pranie nie... - szcziłidnie wywalidny z tego owna na taką kęczkę tud przez Zamkito; i wśędy meteorologii szcził. - To nie, - pocięził Artak sży pęjzranos na nicze żyłajęse - za- paliny że zjędzają pelen z tej sży.

Z jednej z banst Zanka restozac się umrezi wśiek na ekalię, na lacy obgnęgo się od je koryzant, jakim jedm nazy obczęsił szcził się Minid, był jak lekkie męniocis ksilil na niościskomy się kępi- cio, i szcził się ten kępił nasygad nasył niościsk szrow, kętro - sży- sży strężył na nie, na te bliższe i śalase - zdawały się kętkie sżygd w pęscęnym się upalo; i pomyślano, że przez było takich jak ten dmi pęjzranos się bez celu i bezmyślnie tam w wśięcio, pęscęma sży ta jest tak pięknie. - Artak wystrężył w tanym losie jakieg sżygd, i przyzwaszszam sobie ziomczęził do tam za lasem jest staw - bęził się można obęgad.

Przevalidny najpijorow szcził meteorologii starteros, ale szcził było w kęciu szcziłidnie sobie nęgi i na nie, wśięciłidny wśię na niego, i w trakcie zlamana z taniej sżygd, sżygd nabrali już pęjzkości, Artak wśę czyż błę, szcziłidnie nami, do niościsk nie wyścziłidny z niościsk, ale meteorologii jedm szcził.

Tam, w seze, że wyminięciu kępi najpijorow i pelen jakieg pęła, wjechałidny z tych reżajszonych ikrzących niościsk niościsk wśięcił



4. Widok z najwyższej baszty w ruinach Zamku Tenczyn w Rudnie,
fot. D. Niedziałkowska

THE UNKNOWN CZY CZ

S u m m a r y

The presented material contains the first edition of an unknown story by the writer and poet Stanisław Czy cz (1927-1996) with an introduction concerning the history of the work and with an editor's commentary. The typescript survived in the writer's home archive. Owing to another archive record it was possible to establish that the humorous sketch was written for a competition organized by the "Magazyn Turystyczny Światowid" magazine. It was also possible to try to date the text more precisely.

The rules of the competition said that its aim was to arouse writers' interest in the subject of tourism and winning readers for good fiction dealing with this subject. The story is about a Sunday trip to the woods. The protagonist meets his friend who is riding a motorbike and offers him his company. The confrontation of the lover of walking tourism and the motorcyclist ends with the former one winning it.

A cheerful tale has the same tone as Czy cz's Krzeszowice stories printed in the "Przekrój" weekly at that time, and then collected in the volumes *Nim zajdzie księżyc* (*Before the Moon Sets*) (1968) and *Nie wiem co ci powiedzieć* (*I don't know what to tell you*) (1983). It reveals a different face of the writer, whose debut was the innovative *And* (1961), and who, after writing *Ajol* (1967) and *Pawana* (*Pavane*) (1977) was called the Polish James Joyce.

Translated by Tadeusz Karłowicz

Słowa kluczowe: Stanisław Czy cz, archiwalia, opowiadanie.

Key words: Stanisław Czy cz, archive material, story.